NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 ([illegible]).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódź, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 19 listopada 1921. Nr. 47.

Fatalne skutki karygodnej lekkomyślności



Wybuch niemieckiego szrapnela, wyłowionego z rzeki Hrywdy w Iwacewicach.



Poświęcenie nowego sztandaru „saperów kaniowskich“: Naczelnik Państwa wbija pierwszy gwóźdź do drzewca poświęconego sztandaru. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Fatalne skutki karygodnej lekkomyślności.

(Do illustracyi tytułowej).

Nieostrożne obchodzenia się z bronią, zwłaszcza zaś z amunicyą i to większego kalibru, było już powodem tylu nieszczęśliwych wypadków, iż powinno było chyba nauczyć szerszy ogół, przedewszystkiem zaś sfery wojskowe, iż pracę, mającą jakąś styczność z podobnie niebezpiecznymi przedmiotami, należy powierzać ludziom należycie wyszkolonym i pozostającym pod ustawicznym dozorem i kierownictwem fachowców.

Wojna już się skończyła, tu i ówdzie, szczególniej na polach, gdzie toczono walki, dziś jeszcze napotyka się naboje armatnie, które nie eksplodowały. Ludność wiejska, dostawszy w ręce taki pocisk, pewna, że nie może być dla niej niebezpiecznym, zamiast zawiadomić o tem kompetentne władze, rozpoczyna manipulacye, by zbadać, co się też we wnętrzu znajduje i czy też przypadkiem nie da się on zastosować do jakiś praktycznych gospodarskich celów. Następstwem bywa często wybuch, którego ofiarą padło już niejedno życie ludzkie Wszelkie pouczenia ludu wiejskiego o mogącem mu grozić z tego powodu niebezpieczeństwie, pozostają bez skutku, ale nie można się temu i dziwić, jeśli się zważy, że nie inaczej postępują ludzie wykształceni, mogący sobie zdawać sprawę, na co się narażają.

Jeszcze dziwniejszem jest, jeśli organa, powołane do zajmowania się materyałem wybuchowym, pracę przy tem oddają w ręce niepowołane i pozostające bez odpowiedniego pouczenia i dozoru.

Podobny wypadek miał miejsce w ubiegłym tygodniu we wsi Iwacewice na kresach wschodnich, gdzie przystąpiono do wydobywania z rzeki Hrywdy zatopionego w niej przez Niemców w czasie odwrotu materyału wojennego. We wsi tej znajdował się swojego czasu niemiecki magazyn amunicyi.

„Damobil“ powierzył wydobywanie zatopionej w rzece amunicyi firmie Wiśniewskiego w Warszawie, która znowu oddała przedsiębiorstwo w ręce dzierżawców z Prużan. Pracą zajęci byli miejscowi wieśniacy, pozostawieni sami sobie i swemu „chłopskiemu rozumowi“. Wyławianie z rzeki pocisków odbywało się w sposób prymitywny, przy użyciu zwykłych drągów, bez zastosowania jakichkolwiek, wskazanych w podobnym wypadku, środków ostrożności. Jeden z robotników rzucił wydobyty z wody szrapnel na stos innych, nastąpił wybuch, pociągając za sobą śmierć trzech ludzi, a jednego kalecząc.

Poświęcenie nowego sztandaru „saperów Kaniowskich“.

Naczelny Wódz i Naczelnik Państwa nadał 2. pułkowi saperów, nazwę pułku „Kaniowskiego“ i zezwolił na wskrzeszenie tragicznie zniszczonej chorągwi pułkowej z pod Kaniowa. Z tej racyi warto przytoczyć kilka dat z historyi tego pułku. Pułk sformował się w zimowych miesiącach roku 1918 przy 2 korpusie W. P. na Ukrainie za ówczesnego dowództwa jen. Hallera Józefa. W sławnym marszu od Dniestru (Soroki) do Dniepru hartują się szeregi pułku, który następnie w okresie przejścia przez Mironówkę, tworząc awangardę korpusu, zdecydowaną i dzielną podstawą, sparaliżował zbrojne wystąpienie niemców przeciw korpusowi. A kiedy w pamiętnym dniu 11 maja 1918 r. w całej pełni rozszalała krwawa nawałnica historycznej bitwy pod Kaniowem, pułk wykonując jedno z najtrudniejszych zadań, tak wiele okazał inicyatywy i z taką bił się zaciętością, że akcya jego zaważyła pośród najbardziej decydujących współczynników na szali ogólnego wyniku. Mimo to jednak przyszedł dla korpusu grom — kapitulacya. Aby chorągiew, ofiarowana pułkowi przez związek Wojsk. Polaków 4 Armii (b. wojsk rosyjskich) nie wpadła w ręce Niemców, zniszczono ją, zaś szczątki tego widomego znaku bohaterstwa i zasług pułku rozdzielili między siebie uczestnicy dotychczasowej kampanii pułkowej. I przyszła niewola niemiecka. Przywaleni brzemieniem cierpień moralnych i ciężką troską o jutro, wierzyli jednak żołnierze, że nie spłynie z falą zapomnienia ich trud ofiarny i serdeczny, nie zwątpili ani na chwilę, że po okresie upokorzenia niewłasnowolnego przyjść musi z wichrem nurtującego ich uczucia moment nowego działania. Listopad r. 1918 był tą szczęśliwą godziną na dziejowym zegarze, w którym i pułk saperów Kaniowskich mógł, zasilony nowemi kadrami przeistoczyć się w regularne wojsko Rzeczypospolitej Polskiej. Odtąd rozpoczyna się nowy etap żywotności pułku: Lwów, Persenkówka, Żółkiew... boje



Poświęcenie nowego sztandaru „saperów kaniowskich“: Komendant pułku, major Artur Górski, odbiera sztandar z rąk Naczelnego Wodza. Aj fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Odznaczenie obrońców Lwowa: Jen. Jędrzejowski w otoczeniu odznaczonych i korpusu oficerskiego podczas defilady.

na południu. A potem front litewsko-białoruski jen. Szeptyckiego. Lida, Baranowicze, Wilno, Mołodeczno, Mińsk, Pińsk, Łuniniec, Dźwińsk-Połock, Borysów-Bobrujsk, Mozyrz... zespoliły się w cudną legendę pułku i naznaczyły jego wyboistą drogę złotą tęczą pracy i krwi, sławy i śmierci. Obecnie 2 pułk saperów Kaniowskich, pod dowództwem dzielnego majora Górskiego, b. dowódcy 2 pułku Inżynieryjnego II. korpusu, przeszedł na leże pokojowe do Puław, gdzie wre praca organizacyjna, by stworzyć pewne podwaliny dla służby czasu pokojowego. Po usilnych i długich staraniach pułk wznowił chorągiew swoją, wewnątrz której zaszyto szczątki sztandaru zniszczonego pod Kaniowem. Przy sprzyjającej pogodzie jesiennej odbyła się w Łazienkach uroczystość poświęcenia wznowionego sztandaru pułkowego. W uroczystości tej wzięli udział: zastępca d-cy okręgu korpuśnego Warszawa jen. Latour, d-ca okr. korpuśnego Lublin jen. Romer, d-ca miasta Warszawy jen. Suszyński, szef V. Depart. M. S. Wojsk. płk. Dąbkowski, oraz cały szereg oficerów różnego rodzaju broni. Przybyły ponadto delegacye batalionów, wchodzących w skład pułku, więc baonu 3 z nad granicy litewskiej, bohaterskiego 13, który jeszcze w Szampanii i Wogezach walczył w imię Niepodległości oraz nowosformowanego 27-go, który w r. ubiegłym jako 3.III-go i 3.IX-go jako kompanie saperów osłaniał zwycięsko Warszawę. Gdy punktualnie, w oznaczonej godzinie ukazał się Naczelny Wódz, Marszałek Józef Piłsudski w otoczeniu adjutantów, orkiestra 2 pułku saperów odegrała hymn narodowy, zaś dowódca pułku złożył krótki raport. Poczem, po mszy w kaplicy łazienkowskiej, kapelan Naczelnika Państwa, ks. Tokarzewski, dokonał ceromoniału poświęcenia sztandaru pułkowego. Wśród podniosłego nastroju Naczelny Wódz ujął sztandar i wręczył go klęczącemu dowódcy pułku majorowi Arturowi Górskiemu. Major sztandar ucałował, orkiestra odegrała powtórnie hymn narodowy, wreszcie dowódca pułku, dziękując Naczelnemu Wodzowi za zaszczyt jaki przypadł pułkowi w udziale, wygłosił dobitne i jędrne przemówienie, zakończone ślubowaniem żołnierskiem, że pułkowi 2 saperów przyświecać będzie zawsze jak dotąd — święta dewiza żołnierza-Polaka, wypisana na sztandarze: „Honor i Ojczyzna". Na zakończenie odbyła się defilada.



Odznaczenie Obrońców Lwowa: Jen. Jędrzejowski ozpabia odznaczonych Krzyżami waleczności.



Sześćdziesięciolecie „Bratniej Pomocy" słuchaczy lwowskiej Politechniki! Grupa uczestników zjazdu jubileuszowego.

Odznaczenie Obrońców Lwowa.

Koniec roku 1918. i początek 1919. zapisał się w dziejach Lwowa krwawemi wprawdzie głoskami, stanowi jednak jedną z najpiękniejszych ich kart, społeczeństwo bowiem polskie bez różnicy stanu i wieku złożyło w tym czasie tyle dowodów nieustraszonego męstwa i bezgranicznego wprost poświęcenia, że zupełnie słusznie może sobie rościć pretensyę do miana bohaterów i o wolność narodową. O lepsze szli z sobą w zawody wojskowi i cywilni, mężczyźni i kobiety, starcy i młodzież, nie mająca jeszcze tyle sił, by udźwignąć karabin. Stawał ochoczo do apelu każdy, w czyjej piersi biło polskie serce, a wspólne te wysiłki uwieńczył pomyślny skutek. Wróg, tem niebezpieczniejszy, że domowy, poniósł sromotną porażkę, która powinna była pozostać dla niego na zawsze nauką, że Lwów, był, jest i będzie polskim i że polskości swojej gotów jest bronić do ostatniej kropli krwi.

Dzieje tych smutnych dni, które kosztowały nasze społeczeństwo tyle łez i krwi, to dowód, na jakie bezdroża może sprowadzić szowinizm narodowy, w walce bratobójczej nie przebierający w środkach, byle osiągnąć zamierzone cele, choćby się te nawet nie zgadzało z najprymitywniejszemi zasadami etyki. Ukraińcy, chcąc wyzyskać na swą korzyść chwilę politycznego przewrotu, a sądząc, że zastaną nas nie przygotowanych, rzucili się na polskie społeczeństwo we Wschodniej Małopolsce z taką bestyalską wściekłością, że słusznie zapytać się można było, ludzie to czy szakale. Choć nie brakło im poparcia ze strony innych naszych wrogów, czyhających także na sposobność, by nam szkodzić, przerachowali się, polski Lwów z tej kąpieli krwi i łez, jaką mu przygotowali na jego zatratę, wyszedł bez szwanku i wzmocniony na duchu. Sprawiedliwość i słuszna sprawa zwyciężyły, pokonany nieprzyjaciel musiał się cofnąć na całej linii, ale tylko po to, aby w skrytości przygotować się do nowego skoku, o ile nadarzy się do niego odpowiednia sposobność.

Męstwo Lwowa i jego polskich mieszkańców spotkało się już z dowodami należnego im uznania, kresowa nasza stolica zapisała się głęboko w sercu każdego Polaka. Ozdobienie herbu miasta Lwowa krzyżem *Virtuti militari* i te setki odznaczeń za waleczność, zdobiących już piersi dzielnych jego obrońców, to słaby tylko znak wdzięczności, jaką cały polski ogół dla nich żywi i potomności ją przekaże.

W związku z wypadkami wiosennemi r. 1919. pozostaje dodatkowa dekoracya Krzyżami za waleczność Obrońców Lwowa, którzy wówczas odznaczyli się chlubnie. Uroczyste wręczenie honorowych odznak za męstwo odbyło się w dniu 6. listopada b. r. na boisku koszar przy ulicy Jabłonowskich we Lwowie. Odznaczono sześćdziesięciu siedmiu uczestników walk z okresu od 1. lutego do połowy marca 1919. W imieniu Naczelnego Wodza dokonał ceremonii dekorowania bohaterów dowódca okręgu głównego jen. Jędrzejowski w obecności licznego grona oficerów i kompanii honorowej. Wśród odznaczonych są wyżsi i niżsi oficerowie, podoficero-



Uczczenie pamięci amerykańskich lotników: Przemowa pastora dra Kesselringa nad zwłokami przed złożeniem ich we wspólnym grobowcu.

wie i szeregowcy, tudzież kilka osób obecnie cywilnych. Po uroczystości dekorowania odbyła się defilada przed jen. Jędrzejowskim i odznaczonymi.

Sześćdziesięciolecie „Bratniej Pomocy" słuchaczy lwowskiej Politechniki.

Sześćdziesiąt lat minęło w dniu 5 listopada od chwili założenia Bratniej Pomocy słuchaczy lwowskiej Politechniki. Piękną tę rocznicę obchodzili uroczyście tak obecni jej członkowie, jak i dawniejsi, między którymi znalazło się nawet dwu z jej założycieli.



Uczczenie pamięci amerykańskich lotników: Ekshumacya zwłok poległych celem złożenia ich w wspólnym grobowcu na cmentarzu Obrońców Lwowa.

Na obchód jubileuszowy oprócz licznie zgromadzonych obecnych członków przybyli byli członkowie Towarzystwa ze wszystkich stron Polski oraz reprezentanci władz miejscowych i prasy. Z pośród założycieli Stowarzyszenia uczestniczyli jeszcze w tym pięknym obchodzie prof. Jaegerman i inżynier Czechowicz. Obok nich brali udział w uroczystości sędziwi profesorowie i inżynierowie i architekci, którzy w pierwszych latach istnienia tej pożytecznej instytucyi wchodzili w skład jej członków. Obchód rozpoczął Chór techniczny odśpiewaniem pięknej kantaty, poczem profesor Dziwiński, prezes stowarzyszenia z przed lat pięćdziesięciu serdeczną przemową powitał Zjazd, kreśląc dzieje towarzystwa, które przez długich lat dziesiątki, w czasach niewoli podtrzymywało ducha patryotycznego wśród młodzieży. Pierwszy prezes towarzystwa Zygmunt Podlewski zginął w walkach o wolność w r. 1863, a obok niego wielu innych Bratniaków złożyło życie za Ojczyznę. Równie żywą była działalność młodzieży technickiej na innych polach pracy narodowej, w zrzeszeniach oświatowych, społecznych i t. d., a w ostatniem siedmioleciu wojennem stali zawsze w pierwszym rzędzie z tymi, którzy z orężem w ręku walczyli o wolność ojczyzny. Mowca zakończył złożeniem hołdu poległym bohaterom i okrzykiem na cześć Polski.

Następnie odczytano telegramy z życzeniami.

Dalsze przemówienia wypowiedzieli: obecny rektor Politechniki p. Huber, wskazując na zadania techników, którzy mają odbudować Polskę, wiceprezydent Stahl, imieniem Tow. politechnicznego, p. Adamiak imieniem młodzieży uniwersyteckiej, p. Michejda imieniem Akademii górniczej w Krakowie.

Na zakończenie przemawiał obecny prezes „Bratniej" Pomocy p. Nawrocki, kreśląc współudział młodzieży technickiej w walkach lat ostatnich o utrwalenie i obronę bytu odrodzonej Ojczyzny, a w szczególności podczas odparcia nawały bolszewickiej oraz ostatnio na Górnym Śląsku. Kantata Chóru technickiego zakończyła uroczystość.



Rokowania gospodarcze o Górny Śląsk: Przewodniczący delegacyi niemieckiej dr. Schiffer (na lewo) wraz z swym zastępcą Lewaldem w drodze na narady przedwstępne w parlamencie Rzeszy.

Obchód jubileuszowy „Bratniej Pomocy" dał punkt wyjścia do utworzenia nowej pięknej instytucyi a mianowicie Związku Przyjaciół Bratniej Pomocy Politechniki lwowskiej. Do towarzystwa tego należeć będą dawni członkowie „Bratniej Pomocy". Celem Związku jak jego nazwa wskazuje, jest udzielenie pomocy i rady dla uczących się techników. Po zakończeniu obchodu jubileuszowego nowopowstały Związek odbył obrady nad statutem oraz ukonstytuował się, wybierając Wydział, w skład którego wchodzą: prof. Dziwiński jako prezes, prez. Rybicki i prof. Auczyc wice-prezesi, prof. Bartel skarbnik, prof. Weigel, sekretarz.

Po przemówieniu prof. Jaegermana, który przypomniał warunki wśród jakich młodzież technicka podczas powstania towarzystwa przed laty sześćdziesięciu pracować musiała, uczestnicy Zjazdu udali się na wspólny obiad.

Wieczorem odbył się w Kasynie miejskiem wielki raut.

Uczczenie pamięci amerykańskich lotników.

Wybitną rolę przy obronie naszych wschodnich kresów w najgorętszym dla nas czasie, gdy zdawało się, że dla Polski wybiła ostatnia godzina, odegrała amerykańska VII. eskadra lotnicza imienia Tadeusza Kościuszki. Członkowie jej oddali armii polskiej i całemu naszemu społeczeństwu niezapomniane nigdy usługi zdobywając sobie prawo do niewygasającej nigdy wdzięczności. Ogół polski nie szczędził im też zasłużonych wyrazów uznania, a ostatnio dał mu wyraz w oddaniu hołdu pamięci trzech jej członków, którzy na naszym wschodnim froncie polegli śmiercią bohaterską. Byli nimi lotnicy amerykańscy: Arthur Kelly, Edmund Graves i Mac Callum.

Zwłoki poległych bohaterów, złożone tymczasowo na cmentarzu Obrońców Lwowa w grobach prowizorycznych, postanowiono przenieść do wspólnego grobowca, zbudowanego kosztem wdzięcznego polskiego ogółu. W tym celu zawiązał się we Lwowie komitet, w skład którego weszli pp. Janina Ebenbergerowa, Ignacy Dembowski, wicepr. dr. Stahl, kapitan Konopka i por. J. Weber. Wydano odezwę do społeczeństwa z gorącym apelem do składania datków na pokrycie kosztów budowy grobowca i pomnika oraz przystąpiono do przeniesienia zwłok do gotowego już wspólnego grobu.



Nowy kurator Okręgu Szkolnego na zach. Małopolskę: Profesor Jan Owinski, nowomianowany kurator Okr. Szk. na zach. Małopolskę

Ceremonia ta odbyła się w dniu 10. listopada w sposób skromny, ale bardzo uroczysty. Zwłoki poległych wydobyto z tymczasowych grobów, aby je przenieść do wspólnego grobowca, wykonanego według projektu twórcy przebudowy cmentarza Obrońców Lwowa, p. Indrucha. W pogrzebie wzięła udział kompania honorowa wojska, muzyka wojskowa, grono oficerów z jen. Jędrzejowskim. Komitet budowy pomnika Amerykanów z wiceprez. dr. Stahlem, przedstawiciele Komitetu pol. amer. i garść publiczności. Nad grobowcem przemówił po polsku pastor dr. Kesselring, oddając cześć poległym bohaterom, którzy odwdzięczyli się Polsce za usługi, oddane Ameryce przez Kościuszkę. Następnie odprawiono modły w języku angielskim. Orkiestra odegrała hymn polski i amerykański.

Starania Komitetu powinny się spotkać z wydatnem materyalnem poparciem całego polskiego społeczeństwa, które bodaj w ten skromny sposób uczci pamięć obrońców swej wolności. Spoczęli snem wiecznym na obcej ziemi, której mieszkańcy nazwiska ich zachowają głęboko w wdzięcznem sercu, a wspomnienie swych obrońców przekażą przyszłym pokoleniom.

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

12)

To podejrzenie podrzuciło całem jej ciałem. Zacisnęła piersi w nagłym porywie zazdrości.

— Dałabym ja jej!.. Ja ślubna żona!... ja matka jego dzieci!... Ale nie... to chyba niemożliwe!... Antoś przecie taki dobry był... taki troskliwy... a dzieci kocha, szczególnie za Krzyśką... to już po prostu przepada!... Tylko ci nowi przyjaciele, co na jego kieszeń dybią — po restauracyach go różnych prowadzą i od żony i od domu odciągają... A najgorszy to już ten gazeciarz kudłaty... Nierazby mu prawdę w oczy wypaliła, tylko że nie śmie, bo z natury cicha jest, potulna i kłócić się nie bardzo umie... A zawsze to „pan redaktor"... Pije jak smok i Antosia do picia przyzwyczaja... Tego dawniej także nigdy nie bywało.

Zgrzyt klucza obracanego w zamku... potem kroki męskie w przedpokoju... W Bąblowej szarpnęło się serce radością!.. Antoś wrócił... nareszcie!... tak się ucieszyła, że o gniewie zapomniała.

— Antoś!...

Bąbel wszedł do sypialni. Biła od niego drażniąca woń jakichś mocnych perfum, zmieszana z odorem alkoholu.

— Dlaczego nie śpisz jeszcze? — burknął.

— Nie mogłam usnąć. Czekałam na ciebie.

— Także potrzebnie! Żebym nie mógł przyjść do domu, kiedy mi się podoba!...

— Albo to nie przychodzisz, kiedy ci się podoba?... Po całych dniach i nocach cię niema!... A czego ty tak pachniesz, jakbyś... jakbyś... — chciała powiedzieć: „jakbyś od kobiety wracał", ale zlękła się tych słów.

— A cóż to, brakuje mi perfum — czy co?... — mruknął, zaczynając się rozbierać.

— Tyś się dawniej nigdy nie perfumował...

— No to dawniej nie! a teraz tak!... U ciebie zawsze dawniej... dawniej na języku!... Nie możesz tego zrozumieć, że my należymy teraz do *enteligencyi*... To jest ja należę, bo ty...

Lekceważąco machnął ręką.

— I pileś znowu...

— Dajże mi ty święty spokój!... pod kontrolą jestem, czy co?! — podniósł głos o kilka tonów.

— Ciszej mów!... Krzysię obudzisz!... Ona się już i tak budziła... O tatusia pytała...

Wiedziała Franka, czem najłatwiej trafić do serca mężowi... Bąbel złagodniał odrazu, uśmiechnął się poczciwie, podszedł do łóżeczka córeczki i pochylił się nad niem. Dziewczynka wtulona w poduszkę, z główką tonącą w gęstwie płonących loków — spała spokojnie... Różowe jej usteczka lekko były rozchylone...

Ojciec okrył ją troskliwie kołderką, która zsunęła się nieco — poczem przyłożył delikatnie usta do małej rączyny, podłożonej pod różową buzię.

— Maleństwo moje... dzidzi kochane...— szepnął i dziwnie jakoś przykro mu się zrobiło na przypomnienie, że on teraz prawie nie widuje tej swojej ukochanej dziewuszki.

— Żebyś ty wiedział, jaka ona mądra... wszystkie litery już zna... i układa sobie tata... mama... baba... wnet czytać będzie dobrze...

— Naprawdę? — ucieszył się Bąbel — musi mi jutro przeczytać... Patrzcie! jaka to główka, jak makówka!... Moja córka!...

— Przyjdziesz jutro aby na obiad — rzuciła pospiesznie Franka.

— Przyjdę... przyjdę... A chłopcy jak się tam sprawowali?...

— Broili, jak to oni!... Stefek Władkowi podbił oko...

— A to wisus!... Trzeba mu będzie skóry przetrzepać... Niech się nie bije!...

— Ot! jak chłopak — to do bitki skory!... A jak mu ślicznie w tej czapce ułańskiej z tą szabelką coś mu kupił... Jak zacznie maszerować, komenderować — to powiadam ci, niby generał!...

Ojciec rozpromienił się znowu.

— Zuch — smyk, co?... Moja krew!... Może i zostanie generałem, pewnie nawet zostanie...

Atmosfera małżeńska, burzliwa z początku, rozpogodziła się... Bąblowie rozmawiali teraz z sobą po przyjacielsku, jak dwoje ludzi, doskonale się rozumiejących i serdecznie zżytych ze sobą.

Franka uspokojona zupełnie, zaczęła szukać w myśli, czemby tu jeszcze mężowi dogodzić i w jak najlepszy humor go wprawdzić. I wydało się jej, że znalazła.

— Antoś, tyś pewnie głodny... Zostawiłam dla ciebie kolacyę... Są sznycle cielęce i szarlotka z jabłek, taka, jak ty lubisz... zaraz ci podam.

Ta wzmianka o cielęcych i szarlotce poirytowała człowieka, przesyconego pikantnemi potrawami i alkoholem i sepsuła serdeczne wrażenie, wywołane rozmową o dzieciach.

— Nie zawracaj mi głowy sznyclami... Nie chce mi się jeść...

— Takie pyszne sznycle... I szarlotka... Skosztuj tylko... — odrzucała już kołdrę, chcąc wstać z łóżka i przynieść mu jedzenie.

Leż i zostaw mnie w spokoju!.. Nudnaś jak flaki z olejem z twoją kolacyą!...

— Bo ty nigdy teraz nic w domu... — zaczęła płaczliwie.

— Przestańże już skrzeczeć!...

Rozebrał się i położył do łóżka, zapaliwszy przedtem papierosa.

— Antoś!... nie gniewajże się!... ja przecie tylko tak z dobrego serca!... — wyciągnęła ku mężowi chude ramiona w rękawach nocnej koszuli.

— Dobrze!... dobrze!... — rzucił wypalonego papierosa i naciągnął kołdrę na uszy.

Oczy Bąblowej wezbrały znowu potokiem łez.

— Ty teraz to mi już nawet dobrego słowa nie dasz... jak ten cudzy człowiek... jak ten wróg... Antoś!...

Podniósł głowę i spojrzał na żonę, wzruszony żałosną skargą, drgającą w jej głosie... I już... już zamierzał przytulić ją w serdecznym uścisku do piersi, gdy w tem obok tej mizernej, zwiędłej kobieciny z wydłużoną, kościstą twarzą, a wybladłych oczach i cienkich włosach bez połysku — zamajaczył mu obraz inny, kuszący... — kwitnąca dziewczyna o wspaniale rozwiniętych kształtach, z podaną naprzód wysoką, krągłą piersią — purpurowo-złota, świecąca blaskiem kocich źrenic i szkarłatem pełnych, zmysłowych warg... Elegancka, wonna — i „artystka"... Cóż przy niej taka Franka?...

— Czego ci się zachciewa znowu? — sarknął — śpij i daj mnie spać... Na czułość ją wzięło...

— Ant... — nie dokończyła, bo ją łzy zdławiły za gardło. Łzy rozżalenia bezmiernego i palącej nienawiści, która w niej nagle wezbrała do tego czegoś nieznanego a groźnego, co stanęło pomiędzy nią a mężem.

— Czy to kobieta?!... czy to kobieta?!... Dałabym ja jej!... dała!...

Zacisnęła zęby, aż zgrzytnęły. Bąbel tymczasem nakrył się kołdrą i znużony, rozmarzony alkoholem — w jednej chwili usnął. Po kilku minutach chrapał już na dobre... Franka nie kładła się jeszcze... Zbudzone podejrzenie nurtowało ją zbyt silnie i pobudzało myśl do pracy... Chciała zdobyć pewność... dowiedzieć się...

Upewniona, że mąż śpi twardo — po cichu zesunęła się z łóżka i kocim, skradającym się krokiem skierowała ku krzesłu, na którem leżało ubranie Bąbla... Szybko pochwyciła marynarkę i zaczęła przeglądać kieszenie. Nic w nich jednak nie znalazła oprócz bibułek do papierosów i książeczki czekowej... Podrażnił ją tylko zapach, jakim marynarka była przesiąknięta.

— On się sam nie naperfumował tak...

Spojrzenie Franki padło na leżący na stoliku nocnym portfel... A może tam coś znajdzie... Zawahała się... Nie przeprowadzała ona dotychczas nigdy podobnych rewizyi i lękała się, że mąż może się obudzić... Ale ciekawość, chęć dowiedzenia się zwyciężyła... jak złodziej ściągnęła portfel ze stolika... Odrazu uderzyła ją w twarz ta sama woń, którą Antoś przyniósł ze sobą do domu... To pachniała tak wąska, wydłużona koperta, zaadresowana kobiecem pismem... Zatłukło się w Bąblowej serce... Chwyciła list i w ręce ścisnęła, mnąc z wściekłością... Najchętniej byłaby odrazu ten pachnący papierek zniszczyła, stargała w strzępy... Ale wprzód trzeba przeczytać... Światło lampki przed obrazem było zbyt słabe, kontaktu elektrycznego przekręcać nie mogła, nie chcąc budzić męża i dziecka... Musi poczekać do rana...

Na palcach, bezszelestnie prawie, powróciła do łóżka, wnosząc ze sobą wonny list...

ROZDZIAŁ VI.

— Jak Bozię kocham! — matka mnie nie pieściła!...

— Moja droga, nie wysilaj się daremnie na kłamstwa!... Ja ci i tak nie wierzę.

— No, kiedy doprawdy, staruszku, jaki ty jesteś... — Stefa położyła pieszczotliwie rękę na ramieniu Chaniewskiego, ale odsunął ją zlekka od siebie.

— Musimy się rozmówić ostatecznie... — rzekł, zapalając papierosa, którego wyjął ze złotej papierośnicy. — Nie liczyłem nigdy na twoją wierność... Wiedziałem, czego żądam od ciebie i co mi dać możesz...

Stefie zapłonęły gniewem oczy. Byłaby zionęła gradem obelg, gdyby ją nie powstrzymywał instynktowny lęk przed tym doskonale panującym nad sobą mężczyzną, pod którego chłodnem i wytwornem obejściem czaiła się despotyczna, groźna brutalność...

Nie mogąc wyładować złości — uderzyła w ton skrzywdzonej niewinnie.

— Proszę pana! jak pan mnie traktuje!... jak jaką ostatnią!... A przecież pan wszystkiemu winien... — Pan mnie skusił, namówił... Byłam niedoświadczoną, porządną dziewczyną, pracowałam uczciwie na kawałem chleba...

Drwiące spojrzenie Chaniewskiego zahamowało nagle potok jej słów i łez, które Stefa miała zawsze na zawołanie...

— E! proszę pana...

— No, no tylko bez histerycznych scen — bo mnie to nie wzruszy i nie oszuka... Za głupia jesteś jeszcze moja mała, żeby mnie brać na kawał.

Spojrzenie Stefki pobiegło ku bronzowemu posążkowi Wenery Milońskiej ustawionemu na konsoli, a potem przeniosło się na łysiejącą głowę mężczyzny.

— Żebym ja tak mogła rzucić mu to w głowę!... — pomyślała — żebym mu tak mogła nagadać co o nim myślę, tyby mi ulżyło!...

Chaniewski odgadł miotające dziewczynę uczucia, uśmiechnął się.

— Nie irytuj się — to zbyteczne. Nie chcę cię krępować, ale postępowanie twoje nie odpowiada moim wymaganiom... Rozstaniemy się spokojnie i bez gniewu.

Stefka błyskawicznie zrobiła przegląd sytuacyi... Chaniewski zrywa z nią!... Niechby sobie poszedł do stu dyabłów, ale co będzie z teatrem i z przyrzeczoną pomocą pieniężną.

— Proszę pana... Pan postępuje ze mną doprawdy tak, że ja nie wiem... jestem biedną dziewczyną... Namówił mnie pan do teatru i co ja teraz?...

— Nie bój się, nie skrzywdzę cię. W teatrze pozostaniesz dopóki będziesz chciała i dopóki się czemś skandalicznie nie skompromitujesz, a co do moich zobowiązań — proszę cię weź...

(Dalszy ciąg nastąpi).



M. JOKAJ.

RODZINA BARDY

NOWELA.

4)

Już nie słyszał tych słów stary, popędził po schodach, kazał sobie otworzyć tylne drzwi, stanął na dziedzińcu, który już był w ręku napastników i zaczął mówić błagalnym głosem do oblegających.

Usiłowali oni zburzyć jeden z kamiennych słupów bramy i jeden z nich skoczył przez wywalony otwór. Do tego zwrócił się Szymon. Poznał go.

— Synu Lupuj, czego chcecie tutaj? czyśmy was zaczepiali? Przypominasz sobie, ile wyrządziłem ci dobrego, nie kazałem ci leczyć żony w słabości? nie wykupiłem ciebie z wojska? nie dałem ci dwie ładne jałówki, kiedy ci wyginęło bydło? Czyż mię nie poznajesz, synu Lupuj?

— Nie jestem ja teraz Lupuj, ale powstaniec! — krzyknął Wołoch i wielki młot spadł całym ciężarem na siwą głowę błagającego starca.

Ten z przeraźliwym krzykiem upadł i skonał.

W tej chwili pękł filar, z nim razem runęła brama, a przez wyłom jak rój sypała się tłuszcza, pędząc ku trupowi, którego głowę odcięli siekierą.

Na górze w rondelli przypatrywali się tej scenie.

Na widok tego wypadł Barabasz z zabiegłemi krwią oczyma jak wściekłe zwierzę z komnaty; Józef przyczaił się do ściany i w chwili, kiedy na dragu podniesiono krwawą głowę starca, zastrzelił rego, co trzymał drąg w rękach. Pochwycił ją drugi, zastrzelił i tego. Strzelał i zabijał każdego, kto tylko się dotknął głowy, aż w końcu już się nikt nie odważył wziąć jej do ręki.

Wdowa w żałobie nabijała broń, Tomasz siedział spokojnie w krześle poręczowem.

Tymczasem Barabasz wybiegł na strych. Tam leżały kawałki rozebranych pieców żelaznych; poznosił je więc do okna głównym wchodem.

Potem wychylił twarz swoją rozżarzoną i spojrzał po tłumie, czekając, aż się zbiorą przed drzwiami i zaczną je pchać i walić.

Wtedy wzniósł obydwiema rękami cetnarowy kawał żelaza ponad głową i rzucił go w środek ścieśnionego tłumu.

Głuchy rozległ się okrzyk, oblegający odskoczyli od bramy, czterech lub pięciu padło na ziemię, zgnieceni zrzuconym ciężarem.

Po chwili tem wścieklej rzuciła się banda na bramę, a cały pałac zasypał grad kamieni.

Barabasz, nie zważając na lecące kamienie, usiadł w oknie i rzucał stamtąd ciężkie bryły żelaza, posyłając za każdym razem dwóch lub trzech na tamten świat.

Z rondelli padały strzały jeden za drugim. Ani jeden nie padł daremnie. Napastnicy dużo stracili i już stracili odwagę, kiedy jeden służący cały blady wpadł do Barabasza, dając znać, że oblegający wciskają się z tyłu po drabinach, a służba nie może im dać rady.

Z wściekłością rzucił się Barabasz.

W tylnej komnacie leżał sam jeden koniuszy, zarzucony na śmierć kamieniami i już można było słyszeć krzyk cisnącej się zgrai, która przystawiła drabinę i drapała się do góry.

Tam wpadł Barabasz. Zobaczył, że do okna drugiego pokoju przystawiona jest drabina, po której dobywają się Rumuni, podczas gdy przez drugie okno widać już głowy napastników.

— Naprzód łotry! — krzyknął cały rozogniony, chwycił koniec drabiny, przewrócił ją na drugą stronę, wstrząsnął nią tak, że pospadali z niej wszyscy; potem nadludzką siłą podniósł ją do góry i wywinąwszy nią w powietrzu z okropnym zamachem, uderzył w drugą drabinę.

Po tem okropnem uderzeniu załamała się w środku, górna jej część wraz z wiszącymi upadła na ziemię, jeden z nich zawisł przy oknie dopóki po okropnych wytężeniach nie spadł i nie rotrzaskał się na dole.

Usta Barabasza pokryły się pianą, krew zabiegła oczy, twarz posiniała. Z taką twarzą wpadł do przyległego pokoju.

Był tu jeden z oblegających, który szedł na przodzie. Tego tu zastał.

Człowiek ten zbladł i wypuścił młot z ręki na widok Barabasza. Zdrętwiał z przestrachu — tak okropnie wyglądał ten olbrzym.

Z próżną ręką, ale szalonym gniewem rzucił się na nieprzyjaciela, a chwyciwszy go za wyciągniętą niby błagalnie rękę, przyciągnął do siebie i wyrzucił przez okno. Człowiek ten młynkując w powietrzu, poleciał daleko.

— Tutaj, tutaj, kto chce umierać! — krzyczał atleta. Krew ciekła mu z ust wskutek uderzenia kamieniem. — Tu do mnie, ilu was jest!

W tej chwili rozległ się okropny hałas.

Wołosi znaleźli drzwiczki, które Szymon nierozważnie zostawił otwarte i już dobyli się do wnętrza budynku, kiedy to spostrzegła jakaś służąca i krzykiem krew w żyłach ścinającym dała znać oblężonym o niebezpieczeństwie.

Zabito ją na miejscu.

Barabasz, usłyszawszy ten krzyk, chwycił ciężki swój młot i pobiegł na schody.

Na korytarzu spotkał się z bratem Józefem, który spostrzegłszy nieprzyjaciela wewnątrz domu, zaprzestał bronić bramy i pospieszył z bronią w ręku na schody, odprowadzony przez wdowę.

— Idź siostro do moich, zaprowadź ich na strych. My tymczasem stopniowo będziemy schodów bronić. Ucałuj tam żonę i dzieci moje. Jeśli nas zamordują, zdaje mi się w jednym odpoczniemy grobie. Tam się zobaczymy.

Nie potrzebowali czekać długo.

Wdowa odeszła. Dwaj bracia uścisnęli się milcząco, stanęli na schodach i oczekiwali nieprzyjaciół.

Z śmiertelną zemstą walił się tłum po wąskich kamiennych schodach.

— Ha! Tak was lubię, tak zbliska! — krzyczał Barabasz, podnosząc swój ciężki młot w obydwóch rękach i zaczął bić nim oblegających.

Szybko jak skrzydła wiatraku, a ciężko jak pioruny padały uderzenia jego, zawsze w jedno miejsce. Kogo młot trafił, ten nie wstał więcej. Schody zaczęły się zapełniać potłuczonemi czaszkami, połamanemi piersiami i powykręcanymi członkami. Silny huk ciężkiego młota i śmiertelne stękanie konających odbijało się o sklepienie pałacu.

Napastnicy boczeli uciekać bez pamięci, popychani przez stojących z tyłu. Olbrzym odpierał ich niezmordowanie, torując sobie drogę silnymi razami swego straszliwego młota.

Już ich odparł prawie do stóp schodów, kiedy jeden z najezdników, schowany we framudze, niepostrzeżony, przebił go długim nożem.

Z okropnym krzykiem zwrócił się ku swojemu mordercy, cisnął młot za uciekającą przed nim tłuszczą z wyrazem okropnej nienawiści na twarzy, porwał ostatkiem sił mordercę swego za ramię i upadł z nim razem.

Strzały jego brata położyły czterech pierwszych trupem, który nadbiegli w pomoc mordercy. Nie mając więcej nabojów, z obróconą kolbą rzucił się potem Józef do obrony brata, ale go rozbrojono po krótkiej walce.

Wyprowadzili go do żelaznego krzyża na skale, tam go rozkrzyżowali i zamordowali wśród okropnych męczarń.

Kiedy atletę chciano oddzielić od mordery, już z nich nie żył żaden. Ostatkami sił swoich zadusił rabusia i tak zakrzepły mu ręce w uścisku.

Musieli mu poobcinać ręce, ażeby z nich wydobyć Wołocha — trupem.

Z mężczyzn Tomasz jeden żył jeszcze z rodziny i oczekiwał w swoim pokoju rozbójników ze spokojną twarzą.

Siedział w poręczowem krześle, przed nim paliły się dwie świece woskowe, oświecając dumne, ostre rysy arystokraty.

Siedział spokojnie, słyszał krzyk zbliżającej się do jego komnaty zgrai, a serce jego nie uderzyło głośniej, silniej niż przedtem.

Wyjął szeroką krzywą swą szablę i położył przed sobą na stole, potem oparł szerokie czoło na dłoni i patrzał na czarną klingę, zapisaną nieznanemi literami.

Krzyk był coraz bliższym. Naraz uderzono w drzwi; rozwarły się one, bo nie były nawet zamknięte.

Szlachcic wstał z krzesła, podniósł ze stołu szablę i oparł się lewą ręką o poręcz, niemo, zimno stojąc przed swoimi przeciwnikami.

Ci rzucili się na niego z przekleństwem, wywijając kosami, z których sączyła się krew zamordowanych.

Szlachcic stał nieruchomo, jak posąg, dopóki się jego przeciwnicy nie zbliżyli na dwa kroki. Wtedy zabłysnął w jego dłoni błyszczący czarny oręż i jeden z napastników padł na ziemię z roz-

ciętą czaszką; wyciągniętą przeciw niemu rękę drugiego odciął przy samem ramieniu.

Nie rzekł ani słowa. Ani jeden głos gniewu nie wyszedł z jego ust. Twarz jego została zimną, bladą, oczy jego nie obracały się, nie błyszczały, tylko patrzyły z pogardą, niemo, nieruchomo ponad głowy nieprzyjaciół, gdy tymczasem błyszcząca jego szabla ze zwinnością fechtmistrza chwytała wymierzone przeciw niemu uderzenia i rozdzielała cięcia na głowy i twarze przeciwników.

Ci wrzeszczeli wściekle. Im więcej zranił, tem wścieklej napadali niego. On zimno z pogardliwem walczył obliczem, dłoń obracała się tylko. Cała jego postać była nieruchoma, jak rysy jego twarzy.

Dowodził niejako, że w bitwie jeden szlachcic wart dziesięciu chłopów.

W końcu rzucona kosa ciężko zraniła jego wygiętą nogę. Bez jednego głosu bólu ukląkł szlachcic i walczył dalej. Oręż błyszczał ponad jego głową. Ciągle z tem samem bladem obliczem, z tym dumnym, nieruchomym wzrokiem.

Po długiej męczącej walce coraz bardziej się pochylał, w końcu upadł na wznak. Nie wymknął mu się z ust ani jeden głos bólu, ani jeden jęk śmiertelny.

Fale wściekłej tłuszczy przepłynęły ponad trupem szlachcica, a po chwili wzniosła się jego głowa, wbita na jego własnej szabli.

On był z rodziny ostatnim mężczyzną, którego musieli pokonać.

Z jego śmiercią tylko kobiety i dzieci zostały w domu.

Ale napastników więcej jak stu leżało na dziedzińcu, przed drzwiami i oknami, na schodach, a kiedy czasami umilkł okrzyk zwycięstwa, słyszeć się dawały głośne stękania konających i rannych.

* * *

Z całej rodziny zostały tylko kobiety i dzieci.

W tej chwili, kiedy najdnicy wpadli do pałacu, zaprowadziła je na strych wdowa w żałobie, zostawiając drzwi otworem, żeby mężczyźni, zmuszeni do odwrotu, łatwe znaleźli schronienie.

Tam czekali słabsi członkowie rodziny wyniku walki, słuchając z drżeniem odgłosu wrzawy wojennej i domyślając się z niej złego lub pomyślnego rozstrzygnięcia sprawy.

W końcu umilkły krzyki. Ucichł hałas najezdników. Ukryci na strychu myśleli, że odpędzono Wołochów i z radością wyczekiwali przybycia braci.

Ci byli już na tamtym świecie.

W końcu dały się słyszeć na schodach do strychu ciężkie kroki.

— To chód Barabasza! — krzyknęła wdowa z radością, a trzymając w rękach obydwa pistolety pobiegła ku drzwiom strychu.

Zamiast oczekiwanego brata ukazała się przed nią postać upojonego krwią Wołocha, ze zwycięską twarzą.

Z rozdzierającym krzykiem odskoczyła wdowa od wchodu, z rozpaczliwą odwagą wymierzyła pistolet do tego człowieka i wypaliła w serce, tak, że się przewrócił natychmiast i upadł na głowy cisnących się za nim towarzyszy.

Drugim strzałem uwolniła siebie od naigrawań tłuszczy....

Teraz uchodźmy z tego miejsca. Co się tu działo potem, powinno być ukrytem przed okiem ludzkiem.

Wymordowano dzieci i kobiety sromotnie wyszukanemi mękami, a trupy ich powyrzucano przez to okno, z którego Barabasz zrzucał bryły żelaza na głowy napastników.

Na sam koniec pozostawiono siwą babkę, żeby była świadkiem zgonu swej rodziny. Na szczęście, oczy jej już dawno nie widziały blasku słońca i niebawem pozwolił jej Bóg oglądać światłość wiekuistą.

Wykopano wspólny grób dla pomordowanych i powrzucano weń wszystkich, na wierzch dano małe płaczące niemowlę i zasypano je ziemią.

Z pod ziemi wydobywał się płacz jeszcze kilka godzin.

— Jeszcze brakuje jednej osoby, rzekli mordercy wrzucając trupy do grobu. Tylko jedenaście jest, jeszcze ukrywa się jedna osoba.

I rzucili się nazad do pałacu, połamali sprzęty, podarli dywany, przeszukali każdy kątek strychu i piwnicy i nie mogli znaleźć tej jednej osoby, której brakowało.

W końcu jeden z nich począł do ścian pu-

kać żelaznym młotem i kiedy na to pukanie odpowiedziało głuche echo, dał znak z radością towarzyszom by mu przyszli w pomoc.

Były to ukryte drzwi, pomalowane jednakowo ze ścianą i ukrywające obszerną nyżę.

Kilka uderzeń siekiery wywaliły drzwi.

— Tu jest, tu jest — wrzeszczeli stojący bliżej, gdy tymczasem reszta z krwiożerczą chciwością podnosiła się, aby ujrzeć ofiarę.

Tam leżała ta jasna blondynka, blada z zamkniętemi oczyma.

Krewna jej prowadząc resztę rodziny, jakby wiedziona przeczuciem schowała ją w tę kryjówkę, która nawet służbie nie była znaną.

Tam leżała bez przytomności, w ściśniętej słabej rączce błyszczał ostry nóż, a kiedy bezsilna dłoń odmówiła przysługi opuściły ją zmysły.

— Ah — wrzasnęli Wołosi — a na ich twarzy obok krwiożerczości malowała się jakaż jeszcze myśl więcej piekielna.

— To wspólna zdobycz! — wrzasnęło kilku naraz.

— Piękna panna, pańskie dziecko, ha, ha, ha! — zaśmiało się kilku, to właśnie dla obdartych Wołochów i brudnemi zakrwawionemi rękami, chwycili delikatną dziewczynę za ramię.

— Co to takiego!? — zagrzmiał w tej chwili piorunujący męski głos. Rumuni spojrzeli w tył. Między nimi stał mężczyzna o rzymskich rysach, od nich o głowę słuszniejszy, z miedzianym hełmem, na którym widać było ślad silnego cięcia, w lewej ręce trzymał krótki miecz.

— Trybun — mruknęli, ustępując mu z drogi.

— Co tu się dzieje? — zapytał, a zobaczywszy zemdlałą dziewicę w ręku jednego Wołocha kazał mu położyć ją na ziemę.

— To także nieprzyjaciel, odparł ten krnąbrnie.

— Milcz nędzniku, myślisz, że naród rumuński powinien kobiety uważać za swych nieprzyjaciół? Połóż na ziemi!

— Nie tak trybunie — przerwał krnąbrnie Lupuj — znasz nasze prawa, które nam zapewniają łup wspólny. Ta dziewczyna jest naszą zdobyczą. Po zwycięstwie będzie wspólnym łupem...

— Znam prawa lepiej od ciebie drabie. Wspólny podział ze zdobyczy, ale tam, gdzie rzeczy podzielić nie można, tam los rozstrzyga.

— Dobrze trybunie, naturalnie, że nie można podzielić konia lub wołu i tam musi rozstrzygać szczęście, ale dziewczyną mogą się podzielić wszyscy...

— Powiedziałem, że nie można i chciałbym widzieć tego, kto twierdzi przeciwnie.

Lupuj znał trybuna i nie odezwał się więcej, reszta odsunęła się od dziewczyny. Tylko jeden ze zgrai krzyknął, że „można".

— Kto to mówi, niech wystąpi.

Wystąpił młody i trochę podpity Wołoch z zaplecionemi w kosy włosami i stanął z głupkowatym przed trybunem uśmiechem. Bijąc się w piersi rzekł: „ja mówię"!

Ledwie wymówił ostatnie słowo, kiedy trybun podniósł nagle lewą rękę i jednem cięciem odciął głowę protestującego tak, że ta padła w tył, a tułów upadłszy na kolana obydwiema rękami objął nogę trybuna.

— Twierdzi kto jeszcze, że można? — zapytał olbrzym groźnie.

Rumuni odsunęli się chłodno.

— Zaprządz konie do powozu, wsadzić dziewczynę i powieźć ją do Topanfalva. Komukolwiek przypadnie ona w udziale ma prawo żądać, aby ją taką odebrał, jaką ją waszej powierzam opiece. Kogoby zebrała ochota obrazić ją jednem tylko spojrzeniem, uśmiechnąć się do niej, lub o niej wspominać, niech przypomni sobie tego i ma przykład — rzekł trybun i kopnął nogą leżącego przed nim trupa, dając do rozejścia się znak mieczem.

— Idźcie teraz plądrować, niszczyć, rabować.

Tłum rozbiegł się, a trybun kazał dziewczynę do powozu wsadzić i powierzając ją opiece kilku poddanych rodziny, kazał ruszyć ku górom.

Za pół godziny stał pałac w płomieniach, ogień buchał oknami, powlekając mury czarną barwą. Kiedy już się paliło wszystko, wpadli do piwnicy, porozbijali becyki i pływali wśród morza wina i wódki, wśród dzikiego śpiewu a nad nimi palił się dach cały.

A potem obciążeni zdobyczą poszli dalej, pozostawiając umarłych i dobijając konających.

* * *

Omdlałą dziewczynę zawieziono do mieszkania trybuna. Nikt nie ośmielił się jej obrazić, ale każdemu zdawało się, że ma do niej prawo, uważali, żeby im jej nie wydarto, czekali przed domem trybuna i włóczyli się z nim razem, napełniając sień i pokój.

Poskładano przed nim zdobycz, którą mieli podzielić na równe części.

Dowódca podzielił ją na równo i rozdał pomiędzy zgraję.

Jedynie jemu należała się dziesięcina, resztę podzielono jednakowo.

Po podziale poszło kilkunastu do domu, ale większa część została na miejscu, rzucając chciwe spojrzenia na ostatnią zdobycz.

Na pościelonem niedźwiedzią skórą łożu leżała dziewczyna blada, nieruchoma, ledwie żywa.

— Zostaliście tutaj, aby rzucić los komu przypadnie ta dziewczyna? — zapytał Numa wałęsających się.

— Nie inaczej — odpowiedział Lupuj uśmiechając się bezczelnie. — Będziemy grać w kostki, kto najwięcej wyrzuci dostanie dziewczynę. Jeżeli wyrzuci dwóch, dziesięciu, dwudziestu zarówno, będą ją mieli wszyscy.

— Tylko jeden może ją posiadać! — przerwał Numa sucho.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

Pomimo gorączkowego podniecenia uczuła jakby dotknięcie czegoś zimnego... zimnego, jak strach jest zimnym.

— Yes — rzekł.

— Chcę się widzieć z Mahmud Barondim.

Nie ruszył się. Nie zmienił wyrazu. Nubijczycy zgromadzeni w koło na pokładzie patrzeli na nią spokojnie, tak prawie, jak zwierzęta spoglądają na coś, co często widziały.

— Gdzie on jest? — zapytała — gdzie jest?

I nie czekając na odpowiedź przeszła pod złotemi literami do pierwszego salonu. Światła się paliły, lecz nie było w nim nikogo. Przebiegła przez korytarz, odsunęła pomarańczowej barwy kotarę i weszła do pokoju z fontanną.

Na otomanie w narodowym stroju z turbanem i dżelabich, Barondi siedział z podłożonemi pod siebie nogami, paląc haszysz i patrząc na złoconą kulkę, która się wzbijała w górę i opadała w wodę. Opodal od niego na poduszkach oparta, leżała wschodnia młoda dziewczyna. Twarz miała malowaną oczy podkrążone kohlem, paznogcie u rąk i nóg zabarwione henną. Była owiniętą w barwne naszywane świecidełkami gazy. Na ramionach miała dużą ilość wąskich bransoletek. Ona także paliła małą fajkę z koralowym ustnikiem.

Mrs. Armine stanęła cicho u drzwi. Patrzała na dziewczynę i w tem pomyślała o swoim własnym wyglądzie z uczuciem prawie zgrozy.

— Barondi! — rzekła — Barondi!

Trzymał ciągle w ręku długi cybuch fajki, lecz przestał palić.

Rozpacz nagle ją ogarnęła, wyszła na środek salonu.

— Odpraw ją! — zawołała — odpraw ją!

Mówiła po francusku. Odpowiedział w tym samym języku.

— Dlaczego?

— Porzuciłam willę. Nie będę mogła już wrócić.

— Dlaczego nie? — zapytał nie spuszczając oczu z jej twarzy.

Przechylił głowę w tył, odkrywając wspaniałą swą szyję, która się wynurzała z fałdów muślinu, spływających na jego potężną pierś.

— On wie!

— Wie! Kto mu powiedział?

— Ja!

Spojrzał na nią, a jej uczyniło się zimno, jakby ją zanurzono do lodowatej wody.

— Pani mu powiedziała o mnie?

— Nie wszystko. Lecz on wie, że... że spowodowałam jego chorobę, że chciałam, żeby umarł. Powiedziałam mu, gdyż chciałam, żeby mnie puścił. Musiałam go porzucić... i jestem tutaj...

Bransolety wschodniej dziewczyny zadzwoniły, kiedy się poruszyła za Mrs. Armine.

— Odpraw ją! odpraw! — powtórzyła.

— Hanza! — zawołał Barondi nie podnosząc głosu.

Hanza stanął we drzwiach.

Barondi zaczął do niego spiesznie mówić po arabsku. Co mówił? Mrs. Armine nie wiedziała. Wiedziała tylko, że jej przeznaczenie w tych słowach zawarte.

Hanza, milcząc, uczynił tylko znak, żeby za nim poszła.

Lecz ona wciąż stała.

— Barondi? — rzekła.

— Proszę iść za Hanzą — rzekł po francusku.

Hanza dał jej znowu znak, żeby szła przed nim. Zwolna przeszła przez korytarz do pierwszego salonu. Zawahała się, spojrzała za siebie. Hanza skinął, żeby szła dalej. Przeszła pod arabskim napisem... po raz ostatni. Na pokładzie żeglarzy zatrzymała się.

Feluka Lonlii stała obok. Hanza wziął ją za ramię. Pomimo, że jego ręka była mała i delikatna, wydała jej się żelazną. Wstąpiła w czółno. Dokąd ją zawiozą? Przyszło jej na myśl, że może Barondi ma jakiś plan, że nie chce zatrzymać jej na Lonlii, że posiada dom w Luksorze, albo...

Willa Nuit d'Or! Czy Hanza ją tam zawiezie tej nocy?

Hanza usiadł, wziął wiosło i odbił.

— Tak płynął w górę rzeki przeciw wodzie! Gwałtowna nadzieja w nią wstąpiła. Lonlia malała. Hanza wciąż wiosłował przeciw prądowi, lecz zauważyła, że kieruje felukę na środek Nilu. Prąd był silny. Płynęli powoli. Miała ochotę chwycić wiosło i przyspieszyć bieg czółna w górę rzeki. Wschodni brzeg zaczął się wynurzać z ciemności. Zdawał się zbliżać coraz więcej. Zobaczyła światła w willi Andrond.

— Hanza! — szeptała — Hanza!

Wiosłował zwolna, prawie leniwie. Nigdy nie przemogą prądu, jeżeli nie będzie wiosłował z większą siłą. Czemu nie było z nimi dwóch Nubijczyków! Światła willi znikły zakryte wysokim brzegiem.

— Hanza! — zawołała — Hanza!

Dało się uczuć lekkie wstrząśnienie. Feluka dobiła brzegu. Hanza spokojnie wyszedł z czółna i dał jej znak, żeby wysiadła.

Jak tylko stanęła na piasku, Hanza odepchnął Felukę, wskoczył w nią i skierował na ciemną wodę.

— Hanza! — zawołała.

— Hanza! Hanza! — krzyczała.

Czółno płynęło szybko i znikło.

* * *

W jaką godzinę później ukazała się w ogrodzie willi Andrond kobieta, która szła nierównym wolnym krokiem. Przeszła przez ogród i zbliżyła się do tarasu, na który przez wysokie okno salonu padało światło. Zatrzymała się i zajrzała do pokoju.

Zobaczyła skulonego na sofie Nigla z łokciami na kolanach i z twarzą ukrytą w dłoniach. Był sam. Stała chwilę patrząc na niego. Poczem jakby się namyśliwszy weszła zwolna na taras.

W tej samej chwili drzwi salonu się otworzyły i wszedł zdyszany Ibrahim, a za nim ukazał się Meyer Isaacson.

Kobieta stała cicho.

Ibrahim został przy drzwiach. Nigel się nie ruszył. Meyer Isaacson wszedł prędko, kierując się w stronę Nigla, lecz kiedy się znalazł w środku pokoju drgnął, zatrzymał się nagle, spojrzał w okno i podszedł do drzwi prowadzących na taras. Na progu znowu się zatrzymał. Spostrzegł kobietę. Przez chwilę patrzał na nią, a ona na niego. Wyciągnął rękę, odczepił śpiesznie okiennice, przymocowane do zewnętrznej ściany i przyciągnął je do siebie.

Zamknęły się z lekkim trzaskiem zakrywając pokój przed oczami kobiety.

Nie czekała więcej. Poszła drogą do bramy ogrodu, weszła na zapuszczoną ścieżkę i znikła w ciemności idąc na ośiep ku odległym wzgórzom zamykającym pustynią Arabską.

KONIEC.

Kronika tygodniowa

Żywot kronikarza nie zawsze jest przyjemny. Wesołą minę ma w dniu pierwszego każdego miesiąca, gdy chowa do kieszeni swą gażę, następne dni nie są już tak przyjemne, szczególniej zaś te, kiedy trzeba się zabrać do pisania kroniki, a tu, jak na złość, nie chce się nic ważniejszego wydarzyć. W obecnych czasach sytuacya się pod tym względem poprawiła, nie brak bowiem senzacyi, czasem jest ich aż zadużo, tak, że jest się w kłopocie, od której zacząć. Takim jest i obecny tydzień. Jest o czem pisać, dlatego też niniejszą kronikę zaczniemy od tego, na czem skończyliśmy poprzednią, to jest od narzekania, że marka polska poszła w górę, a ceny najniezbędniejszych artykułów nie chcą ani rusz opaść. Jeśli jednak chce się być sprawiedliwym, a ta cnota jest właśnie jedną z ozdób kronikarskiej osoby, musi się przyznać, że marka, widocznie zmęczona podnoszeniem się zatrzymała się nieco w swym pochodzie do góry, a ceny tu i ówdzie obniżyły się nieco.

Na podniesienie się wartości marki wpłynęła przedewszystkiem racyonalna polityka finansowa nowego ministra skarbu, niezawodnie także i decyzya Rady Najwyższej w sprawie górnośląskiej. Kredyt nasz poprawił się za granicą bardzo wydatnie, markę polską na obcych giełdach notowano coraz wyżej, ale to nie podobało się naszym spekulantom walutowym, robiącym na jej zniżce doskonałe interesy. Zaczęto zatem nagonkę przeciw ministrowi skarbu i dołożono wszelkich starań, ażeby sparaliżować jego usiłowania sanacyi jego finansów. W miłej zgodzie stanęły do tej „patryotycznej roboty“ najrozmaitsze stronnictwa, które przedtem, gdy chodziło o wytworzenie zwartej parlamentarnej większości rządowej, gwałtownie się zwalczały. Zwłaszcza projekt daniny majątkowej znalazł niemal we wszystkich partyach politycznych zaciekłych wrogów, co można tem tłómaczyć, że każdy brałby chętnie, ale nie ma bynajmniej ochoty ze swej strony przyczynić się czemś, nawet w tak decydującej chwili, jak obecna, gdy mamy poprostu nóż na gardle.

Otwarcie przeciw daninie nie odważył się nikt wystąpić, z wyjątkiem oczywiście tych, którzy nie uważają się za obywateli polskich, wszyscy natomiast znajdują preteksty, aby ją opóźnić lub wogóle unicestwić. Na jej miejsce wysuwają natomiast swoje projekty, których przeprowadzenie połączone byłoby ze szkodą dla naszych interesów. Do nich zaliczyć należy przedewszystkiem proponowaną redukcyę wartości naszych pieniędzy o dwadzieścia procent, co ściągnęłoby na nas za granicą opinię bankrutów i, miast ratować nas z błota, pogrążyłoby w niem jeszcze bardziej. Poszczególne stronnictwa sejmowe oświadczają się wprawdzie za daniną, ale z zastrzeżeniem o ile ona ominie ich członków, a całym swym ciężarem spadnie na barki innych. Ludowcy zatem chcieliby ją nałożyć na mieszkańców miast, ci zaś zupełnie słusznie radzą, by zapukać do skrzyń chłopskich, w których pleśnieją miliony, stając się nieraz pastwą myszy. Opowiadają naprzykład, że pewien włościanin z okolic Tarnowa, nie mogąc zliczyć swego majątku w gotówce, a nie dowierzając nikomu z miejscowych, sprowadził sobie w tym celu z miasta adwokata.

Ostatecznie uchwalono po długich a dolegliwych cierpieniach projekt daniny w Komisyi budżetowej, próbę ogniową przejść ona musi jeszcze na plenum sejmowem. Biedni posłowie znajdą się tam w krytycznem położeniu. Otwarcie występować przeciw niej nie wypada, aby nie ściągnąć na siebie zarzutu, że się jest ślepym i głuchym na konieczności państwowe, a własna kieszeń i popularność u wyborców każą jej podstawiać nogę za każdą cenę. Wynajduje się zatem najróżnorodniejsze kruczki, sprawa się przewleka, a tem samem i nasz kredyt za granicą, który się tak pięknie poprawił, musi się psuć. Odbiło się to już na kursie polskiej marki, notowanej niedawno na giełdzie wiedeńskiej 2 K. 45 hal., w chwili zaś, gdy to piszemy, 2 K. 15, a nie jest wykluczonem, że zniżka ta postępować będzie coraz dalej w miarę tego, jak nasz Sejm będzie się długo zastanawiał czy kto ma wogóle składać, ewentualnie kto ma składać ową nieszczęsną daninę, która tak boleśnie dotyka naszych wojennych milionerów.

Przewidywali to prawdopodobnie nasi kupcy i dlatego nie spieszyli się ze zniżeniem cen, żaden z nich zresztą nie chciał być pierwszy, każdy czekał, aż się znajdzie ktoś, kto zrobi początek. A o takiego trudno, żaden bowiem z kupców lub przemysłowców nie chce ściągnąć na siebie zarzutu, że działa na niekorzyść swego stanu. Wspomnieliśmy wprawdzie wyżej, że tu i ówdzie można się spotkać z obniżeniem cen, twierdzenie swe opieraliśmy zaś na fakcie, skonstatowanym przez nas „na swoje własne oczy“. Oto w oknie wystawowem jednego z mistrzów sławetnego kunsztu szewskiego widzieliśmy do niedawna na parze butów z cholewami umieszczoną cenę „36.000“, obecnie uderza w oczy napis „Ceny zniżone“, kartka, podająca cenę, nie uległa jednak zmianie, chyba o tyle, że gdy przedtem przytwierdzoną była do samego wierzchu cholewy, dziś znajduje się tuż koło obcasa, nikt więc narzekać nie może, aby nie nastąpiło jej „obniżenie“.

Z ową zniżką cen rzecz miała się podobnie, jak ze sprawą ogólnego rozbrojenia, mającą być rozstrząsaną na konferencyi waszyngtońskiej. Wszystkie większe i mniejsze państwa zgadzają się na to, że należy dążyć do ograniczenia zbrojeń, ale każde uzależnia swą zgodę na projekt od tego, aby przedtem inni zrobili dobry początek, a i tu, tak jak między naszymi kupcami, nikt nie chce być pierwszym, każdy byłby rad pozostać w tyle. Zdaje się zatem, że szkoda czasu i pieniędzy na to waszyngtońskie młócenie plew, a ta konferencya, która miała stać się zapewnieniem trwałego pokoju światowego, może bardzo łatwo dać powód do wybuchu nowej wojny. Gdyby do tego przyszło, terenem jej byłoby niezawodnie morze, gdyż rozegrała by się ona między Anglią i Japonią z jednej strony, z drugiej zaś Ameryka, na czem moglibyśmy wyjść dobrze przestrzegając naszej neutralności, dostarczając obu walczącym stronom materyału wojennego. To tylko bieda, że trudno byłoby u nas znaleźć coś takiego, z czego strony wojujące mogłyby skorzystać, musimy się zatem z góry pożegnać z myślą, byśmy mogli zarobić coś na tym interesie.

Jabłko niezgody już jest przygotowane, a są niem Chiny, których uwolnienia od opieki japońskiej i angielskiej żądają Stany Zjednoczone. Najotwarciej postąpił sobie rząd sowieckiej Rosyi, zastrzegając się z góry, że się nie będzie zupełnie krępować uchwałami waszyngtońskiemi, ale w każdym razie postąpi jak będzie dla niego korzystniej i wygodniej. Zdaje się, że i Lloyd George wychodzi z tego samego założenia i, kto wie, czy właśnie z tego powodu nie odłożył na później swego wyjazdu do Ameryki, zasłaniając się sprawą irlandzką, a w gruncie rzeczy nie chcąc się narażać na niepotrzebne trudy i skutki morskiej choroby, zwłaszcza, że jest święcie przekonany, iż Amerykanie nie powitają go tak owacyjnie i serdecznie, jak naprzykład Brianda.

Konferencya waszyngtońska ma zatem znaczenie dla całego świata, lecz bardzo problematyczne, ujawni bowiem co najwyżej dobre chęci jednostek, a w rezultacie wszystko zostanie po staremu. Jeśli bowiem Rosya rozbrojenia nie przeprowadzi, tem samem nie może tego uczynić i sąsiadująca z nią Polska, co spowoduje Niemcy do dalszych zbrojeń, na które Francya nie będzie mogła patrzeć z założonemi rękoma, czyli, że w dalszym ciągu na wojenne przygotowania celem podtrzymania pokoju będą szły coraz to nowe miliardy, które mogłyby być użyte na inne produktywniejsze cele.

W to, aby na świecie miał zapanować ogólny spokój, nikt nie wierzy, przez siedm lat wojny tak się wszystkie narody rozindyczyły, że trudno im usiedzieć spokojnie. Zaledwie skończyła się, i to jeszcze nie zupełnie, wojna grecko-turecka, już na porządek dzienny wchodzi zbrojny zatarg Jugosławii z Albanią, a bezpośrednio po nim z Czarnogórą, która się ogłosiła samodzielną republiką, nie mając widocznie zaufania do polityki belgradzkiego gabinetu, bo zresztą jest bardzo na rękę Włochom, bardzo krzywo patrzącym na wcielenie wielkoserbskich aspiracyi, niebezpiecznych dla ich interesów na wybrzeżach Adryatyku. Obecna Jugosławia, raczej Wielka Serbia, przypomina bardzo swemi dążeniami imperyalistycznemi ową żabę z bajki, która tak długo się nadymała, aż nareszcie pękła.

Niewiele brakowało, a bylibyśmy mieli także i wojnę czesko-węgierską, do której Czesi już się na seryo przygotowali, a teraz każą sobie płacić koszta mobilizacyi, choć je o nią nikt nie prosił. Jugosławia miała też niezgorszy apetyt na niektóre kawałki Węgier, celem zaokrąglenia swych granic, a powodem zbrojnego wystąpienia tak jednych, jak i drugiej była niefortunna impreza exkróla Karola, zbyt posłusznego swej lepszej połowie, chcącej gwałtownie być królową w czynnej służbie, a nie emerytką i to do tego bez emerytury. Spadli zatem oboje na ziemię węgierską, niczem ów śnieg z nieba, ale też, podobnie jak on, spłynęli Dunajem ku morzu Czarnemu, skąd wybierają się na niedobrowolną wycieczkę, celem poratowania nadwątlonego zdrowia, na Madejrę, gdzie Karolek, nie mając sposobności zajmowania się polityką, znajdzie jeszcze więcej czasu na tem gorliwsze spełnianie obowiązków rodzinnych, w czem już dziś może służyć za wzór, godny naśladowania. Małżonka jego, pani Zyta, jest również wzorem wierności małżeńskiej, nie opuszczając swego dozgonnego towarzysza nawet w karkołomnych podróżach napowietrznych, choć złośliwi utrzymują, że w grę tu wchodzi nie tyle wierność, ile raczej obawa, aby się mężulek gdzieś w drodze nie zawieruszył, co, zwłaszcza w czasie podróży nadziemskiej może się bardzo łatwo przytrafić.

Operetka węgierska skończyła się zatem stosunkowo dość szczęśliwie, sejm węgierski uchwalił detronizacyę Habsburgów, a świat ma nową zagadkę do rozwiązania, komu dostanie się korona św. Szczepana. Coś przebąkują o unii personalnej z Rumunią, byłby to jednak prawdziwy polityczny dziwoląg, wiadome bowiem, że Węgier i Rumun kochają się tak serdecznie, jak pies z kotem. Ale polityka dokonuje nieraz cudów.

Mieliśmy także i pod bokiem wojnę i to taką, która mogła pozostać nie bez wpływu i na nas. Mamy tu na myśli powstanie przeciw bolszewikom na Ukrainie, wkroczenie tamże Petlury i powrót *in statum, quo ante*, to jest pod nahaj sowiecki. Jak się z dochodzeń lwowskich okazuje, powstanie na Ukrainie miało być tylko pretekstem dla Ukraińców do zaatakowania przy tej sposobności wschodniej części Małopolski i połączenia jej, jako samodzielnej republiki zachodnio-ukraińskiej w ścisły sojusz z Ukrainą sowiecką. Pokazuje się jednak, że Fedak wystrzelił za wczas, obecnie, dzięki właśnie jemu, wyłażą na wierzch różne prawdziwe ukraińskie świństwa, które może nareszcie otworzą oczy reszcie Europy na zagrażającą światowemu pokojowi działalność polityków hajdamackich, ułatwiających bolszewizmowi posuwanie się w kierunku zachodnim.

Dzięki Bogu, że zawarliśmy z Czechami ugodę handlową, a także i polityczną i na podstawie tej ostatniej możemy żywić nadzieję, że nowi nasi „sprzymierzeńcy“ położą kres antipolskim machinacyom Ukraińców, rozwijającym się bardzo pięknie pod ich okiem i za ich pieniądze. Organizuje się tam nawet armia zachodnio-ukraińska, przeznaczona do zaatakowania Polski. Gdyby pan Benesz był tak ustępliwy, jak pan Dąbski wobec Karachana, moglibyśmy zażądać od Czechów wydalenia z ich granic różnych ciemnych indywidyów, prowadzących tam antipolską agitacyę, o której przecież rząd pana Masaryka oficyalnie nic nie wie, a przynajmniej robi taką minę, jak gdyby nic o tem nie wiedział.

Z najbardniej obchodzących nas spraw natury wewnętrznej wspomnieć należy o przesileniu na stanowisku Naczelnika Państwa, wywołanem sprawą Litwy Środkowej. W chwili gdy to piszemy trwa ono jeszcze, ale są wszelkie widoki, że zostanie lada dzień usunięte, i dlatego okazują tendencyjnemi, szerzone po Krakowie pogłoski, jakoby na to stanowisko miał być powołany dotychczasowy redaktor *Illustrowanego Kuryera Codziennego*, p. Maryan Dąbrowski, cieszący się obecnie wielkimi względami stronnictwa p. Witosa, który w danym wypadku objąłby zapewne z powrotem fotel prezydyalny w Radzie gabinetowej, gdzie tak owocnie włodarzył nam rok przeszło. Jak stwierdziliśmy, tyle jest na tem prawdy, iż p. Dąbrowski ma wejść do Sejmu w miejsce p. Bardla, który syt sławy i t. d., cofa się w zacisze domowego ogniska, aby spełniło się, co mówi Pismo św., iż „błogosławieni cierpliwi, albowiem doczekają się mandatu“.

Gabinet Ponikowskiego utrzymuje się dotąd przy życiu, ale ma trudne zadanie musząc na każdym kroku zwalczać przeszkody, będące po największej części następstwem działalności dotychczasowych naszych włodarzy, która była w całem tego słowa znaczeniu „z dnia na dzień“. Rozchodziło się tylko o to, aby mieć zapewnione dziś, co będzie jutro, o to nikogo głowa nie bolała. Każdy gabinet wiedział, że prędzej czy później pójdzie w odstawkę i że się musi znaleźć ktoś, kto po nim obejmie spuściznę.

I ta spuścizna właśnie, jaką objął premier Ponikowski po swym poprzedniku, nie jest bynajmniej godną pozazdroszczenia. Najsmutniej przedstawia się finansowa strona tego przedsiębiorstwa, gdyż przyznać trzeba, że maszyna do wybijania pieniędzy dzień i noc nie ustawała w ruchu, nie krępując się nawet ośmiogodzinnym dniem pracy, za co ją nikt, rzecz ciekawa, nie pociągnął do odpowiedzialności.

Rokowania gospodarcze o Górny Śląsk.

Rada Najwyższa rozstrzygając w ostatniej instancyi sprawę podziału Górnego Śląska między Polskę i Niemcy, pozostawiła załatwienie spraw natury gospodarczej na byłym terenie plebiscytowym wzajemnemu porozumieniu się obu państw interesowanych. Polska i Niemcy miały w tym celu zamianować swych delegatów, którzy zajęliby się tą sprawą pod przewodnictwem wyznaczonego przez Radę Najwyższą superarbitra, szwajcarskiego męża stanu Adora.

W myśl tego postanowienia zamianowała Polska swą delegacyę, której skład znany jest Czytelnikom z pism codziennych, toż samo uczyniły i Niemcy. I jakoś tak się dziwnie złożyło, że z komunikatów naszej prasy wiemy daleko więcej o tem, jak przygotowuje się delegacya niemiecka do podjęcia rokowań, o tem zaś, co czyni nasza, nie jesteśmy należycie poinformowani.

Na czele niemieckiej delegacyi stoi dr. Schiffer, b. wicekanclerz Rzeszy, b. minister finansów i sprawiedliwości, członek niemieckiej demokracyi. Jego zastępcą jest były podsekretarz stanu, Lewald, b. dyrektor departamentu w niemieckiem ministerstwie spraw zagranicznych, znawca spraw polskich. Obaj delegaci są podobno pochodzenia żydowskiego, a opinia ogólna uznaje ich za umiarkowanych polityków. Do ich boku dodano cały szereg doradców i ekspertów, między nimi znajduje się i osławiony renegat górnośląski ks. Ulitzka, z pochodzenia Polak, z przekonań zaś zaciekły hakatysta.

Dr Schiffer urządził już w Berlinie cały szereg konferencyi z wybitnymi niemieckimi mężami stanu, finansistami i t. p., na których omawiano stanowisko, jakie ma zająć w sprawie górnośląskiej niemiecka delegacya. Następnie udaje się dr. Schiffer na Górny Śląsk, aby na miejscu zbadać stosunki i wysłuchać żądań interesowanych, celem zebrania materyału, mającego stanowić wytyczną dla delegacyi.

Wspólne obrady delegacyi polskiej i niemieckiej doznały pewnego opóźnienia z powodu, iż p. Ador zrzekł się przewodnictwa, a Rada Najwyższa nie zamianowała jeszcze następcy. Niewiadomo także, gdzie się będą odbywać rokowania, na proponowaną bowiem przez Radę Najwyższą Genewę, nie zgodziły się tak Polska jak i Niemcy z powodu trudności natury finansowej ze względu na różnicę kursu szwajcarskiego franka i marek. Najprawdopodobniej zbiorą się delegacye we Wiedniu, choć Niemcy proponują któreś ze swych miast.



Borys Sawinkow do społeczeństwa polskiego: Przywódca Es-erów rosyjskich, Borys Sawinkow, wydalony z granic państwa polskiego na żądanie posła sowieckiego Karachana.

Nowy kurator okręgu szkolnego na zach. Małopolskę.

(Kr.). Młody, bo dopiero do „czterdziestki" dochodzący nowomianowany kurator Okręgu szkolnego na zach. Małopolskę — Jan Owiński, to człowiek znany nie tylko z najpochlebniejszej strony jako wyborny, postępowy pedagog, ale i zacny, poświęcający się dla dobra ogółu obywatel.

Silne umiłowanie społeczeństwa, zwłaszcza zaś młodzieży, dało Janowi Owińskiemu impuls do szerokiej społecznej działalności.

I rzeczywiście! niema prawie dziedziny życia publicznego, gdzieby ten dzielny, niezmordowany pionier wiedzy i postępu nie przodował i nie walczył. Zbyt wiele miejsca zabrałoby wyliczanie wszystkich posterunków bezinteresownej, obywatelskiej pracy, których Owiński tak świetne dał dowody.

Obok pracy pedagogicznej brał żywy, dominujący udział w zrzeszeniach zawodowych, był członkiem Zarządu głównego Tow. nauczycieli szkół wyższych. Dał się poznać jako prezes kół T. S. L. i prezes Związku okręgowego T. S. L., w ostatnich zaś czasach jako członek Głównego Zarządu T. S. L.

Ale nie na tem ograniczała się działalność nowomianowanego kuratora.

Piastował bowiem godność wiceprezesa Sekcyi oświatowej Małop. Tow. Rolniczego, był przewodniczącym Sekcyi popierania przemysłu ludowego przy kółkach rolniczych.



Po likwidacyi Habsburgów na Węgrzech: Przegląd ochotniczego oddziału studentów budapeszteńskich przez naczelnika państwa Horty'ego.

Nieopośledni już w całem słowa znaczeniu zasługą Jana Owińskiego jest założenie Małopolskiego Związku młodzieży, grupującego dwieście kilkadzie siąt kół oświatowo-kulturalnych, zorganizowanych przy kółkach rolniczych. On też był założycielem i przez jakiś czas redaktorem „Młodej Polski", organu oświatowego wydawanego dla młodzieży.

Jan Owiński, urodzony w Rymanowie, skończył gimnazyum w Kołomyi, a studya uniwersyteckie w Krakowie i Lwowie. Następnie jako profesor gimnazyalny, pracował kolejno w Podgórzu, Bochni, Krakowie (seminaryum naucz.), a wreszcie w tutejszem gimnazyum św. Anny.

Nominacya Jana Owińskiego na wysokie stanowisko kuratora naukowego — spotkała się z zasłużonem uznaniem i radością społeczeństwa. Człowiek, którego młode życie wykazuje już taki ogrom prac obywatelskich, ożywionych poświęceniem i miłością tego społeczeństwa, który dał się poznać jako pierwszorzędny pedagog i wychowawca młodzieży — odpowie z pewnością wielkim i trudnym obowiązkom zaszczytnego swego mandatu.



Po likwidacyi Habsburgów na Węgrzech: Żołnierze węgierscy zrywają szyny kolejowe w okolicy Raab, aby uniemożliwić przejazd królowi Karolowi i jego wojsku.

Borys Sawinkow do społeczeństwa polskiego.

Solą w oku dla rosyjskiego rządu sowieckiego był pobyt w granicach naszego państwa znanego działacza rosyjskiego, Borysa Sawinkowa, którego komisarze ludowi uważają widocznie za bardzo groźnego swego przeciwnika, skoro aż w drodze dyplomatycznej zażądali wydalenia go z Polski wraz z innymi „niebezpiecznymi Rosyanami, Białorusinami i Ukraińcami". Sprawa ta wywołała w swoim czasie wiele rozgłosu i stała się powodem zupełnie słusznych zarzutów, skierowanych pod adresem wiceministra Dąbskiego, który zbyt skwapliwie uwzględnił żądania sowieckiego posła Karachana, dając mu w ten sposób precedens, że może się rządzić w Polsce, jak ekonom na swoim folwarku.

Sawinkow, który bawił w Paryżu w chwili powzięcia przez nasze ministerstwo spraw zagranicznych odpowiedniej decyzyi, nie mogąc otrzymać w Paryżu wizy na powrót do Polski, przybył do Warszawy, drogą powietrzną, aby upomnieć się o swe prawa korzystania z azylu na naszem terytoryum. Starania jego nie odniosły pożądanego skutku, wraz z innymi, skazanymi na wydalenie z granic Polski, musiał opuścić nasz kraj. W chwili odjazdu ogłosił on list otwarty do polskiego społeczeństwa, zasługujący w pełnej mierze na to, aby z treścią jego zapoznał się każdy Polak, dowie się z niej bowiem, jakiemi uczuciami wobec nas przejęci są ci z Rosyan, którzy przyszłość swej ojczyzny widzą w zgodnem współżyciu ze swym polskim sąsiadem.

„Opuszczając Polskę, pisze Sawinkow, zwracam się do bohaterskiego polskiego narodu, który tak długo udzielał nam gościny, zwracam się do wszystkich naszych polskich przyjaciół, aby powiedzieć, że zachwycamy się rycerską w przeszłości walką Polski o wolność i wierzymy w świetlaną przyszłość Polski, w bratnią przyjaźń z odrodzoną Rosyą. Uwa-

żam za obowiązek oświadczyć, że my, rosyjscy pionierzy idei rosyjsko-polskiego zbliżenia pozostaniemy takimi samymi szczerymi przyjaciółmi Polski, jakimi byliśmy dotychczas. Z głosu polskiego społeczeństwa, biorącego nas w obronę, czerpiemy przeświadczenie, że idea nasza znajduje żywy oddźwięk u wszystkich miłośników swobody i Polaków, wierzących w odrodzenie Rosyi.

Opuszczam Polskę z uczuciem najgłębszej wdzięczności dla Naczelnika Państwa Polskiego i całego polskiego narodu za gościnność, pomoc, poparcie i zaufanie. Odchodzę ze swojem marzeniem o godnem i szlachetnem rozwiązaniu rosyjsko-polskiego odwiecznego sporu.

Niech cieniem fatalnym nie padnie na przyszłe stosunki między dwoma narodami, które wiele ucierpiały, pamięć dni 28. i 30. października 1921".



Po likwidacyi Habsburgów na Węgrzech: Oddział wojsk wiernych rządowi, idący na pozycyę

Po likwidacyi Habsburgów na Węgrzech.

„Operetka węgierska", w której główną rolę odegrał ex król Karol IV, skończyła się zupełną likwidacyą praw rodziny Habsburgów do korony św. Szczepana. Zgromadzenie narodowe węgierskie uchwaliło na żądanie mocarstw koalicyjnych detronizacyę Habsburgów, odmawiając im raz na zawsze prawa do tronu węgierskiego, nawet w razie wolnej elekcyi. Ex król pod przymusem ustąpił, aktu zrzeczenia się korony jednak nie podpisał, widocznie nie wierząc, aby gwiazda jego miała zgasnąć raz na zawsze.

Wspominaliśmy już poprzednio, że ex-król Karol został wprowadzony w błąd zapewnieniami swych zaufanych, że naród węgierski czeka niecierpliwie na jego przybycie. Z pism zagranicznych dowiadujemy się obecnie, kto to utwierdził Karola w przekonaniu, że wystarczy samo pojawienie się na ziemi węgierskiej, by szanse przechylić na jego stronę. Paryski *Matin* stwierdza, że Karol Habsburg, który uważa za dobre to tylko, czego sobie życzy, a odrzuca z góry wszystko, co nie zgadza się z jego pragnieniami, obrał sobie osobliwych doradców.

Politycy węgierscy z góry mu zapowiadali, że Węgry nie narażą się dla jego osoby na atak ze strony małej ententy. Karol wolał wierzyć niańce, zamówionej przez królowę Zytę z Budapesztu, która mu opowiadała, że wszystkie „*hausmeistry*" z Budapesztu mówią z zapałem o „swoim" królu. Karol był przekonany o tem, że ani Czechosłowacya, ani Jugosławia nie będą w stanie się zmobilizować, gdyż kilku salonowych strategów tak go poinformowało. Gdy powiedziano mu, że Koalicya jest przeciw niemu, Karol śmiejąc się, rzekł: „No to zerwę swoje stosunki z koalicyą"... Nawet gdy już wszystko było stracone, w pierś Karola wstąpiła nowa nadzieja, gdyż pewna amerykańska pielęgniarka chorych, której udało się zbliżyć do niego, opowiedziała mu, iż wie doskonale, że Koalicya nie dopuści do tego upadku.

Przebieg wypadków z ostatnich dni października znany jest już naszym Czytelnikom. Nieudały pochód na Budapeszt i klęska w okolicy Komorna, jaką wojska królewskie poniosły od rządowych, pozostających pod rozkazami jen. Nagyego, zakończyły stosunkowo dość szczęśliwie „węgierską operetkę" ex króla, który, pojmany do niewoli, na pokładzie angielskiej kanonierki przewieziony został do ujścia Dunaju, stąd zaś drogą na Konstantynopol i Gibraltar na Madejrę, gdzie we Funchal wyznaczono parze ex-królewskiej miejsce stałego pobytu. W miejscowości tej przebywała chętnie śp. cesarzowa Elżbieta.

Dziś, kiedy Habsburgowie nie są już pretendentami do korony węgierskiej, stwierdzić można na podstawie ostatnich wypadków, że rząd węgierski w tej krytycznej chwili poparty został przez większą część narodu. Na wiadomość o grożącem niebezpieczeństwie, gdy zachodziła obawa, że wojska mogą przejść na stronę króla, młodzież budapeszteńska utworzyła oddziały ochotnicze, oddając się do dyspozycyi naczelnikowi Horty'emu. Obawy te okazały się płonne, wojska rządowe pozostały wierne złożonej przysiędze, a zapowiedź, ogłoszona w Szopronie, że nazajutrz odbędzie się tryumfalny wjazd króla do stolicy, w ostatniej chwili uległa zmianie. Król wyjechał do Tihany i to wbrew swojej woli. Nie pomógł sukurs, z jakim pośpieszyli jego niemieccy przyjaciele, pomimo poparcia Karola przez ochotnicze oddziały, siły królewskie okazały się za słabe, aby módz skutecznie przeciwdziałać rządodowym, zwłaszcza, że w obronie porządku dotychczasowego stanął prawie cały naród.



Po likwidacyi Habsburgów na Węgrzech: Wierni Karolowi żandarmi węgierscy, rozbrojeni przez wojska narodowe.



Z walk Hiszpanów w Marokko: Kapelan wojskowy błogosławi zmasakrowane w straszliwy sposób zwłoki hiszpańskich żołnierzy na dziedzińcu cytadeli na górze Arruit.

Z walk Hiszpanii w Marokko.

O powstaniu plemion marokańskich przeciw gniotącemu ich jarzmu hiszpańskiemu wspominaliśmy przed niedawnym czasem w naszem piśmie. Wówczas położenie wojsk hiszpańskich w Afryce było fatalne, siły ich okazały się za słabe, aby módz stawić czoło powstańcom, którzy rozpoczęli z niemi walkę na śmierć i życie, toczoną z całą bezwzględnością, do jakiej zdolne są na pół dzikie afrykańskie szczepy. Hiszpania, ratując swą powagę, rzuciła na ląd afrykański znaczne posiłki, od tej chwili sytuacya poprawiła się na ich korzyść, zwolna ale systematycznie tępiono oddziały powstańcze, cofające się w głąb kraju.

Prowadzenie wojny na terenie afrykańskim połączone było dla Hiszpanów z nadzwyczajnemi trud

nościami jeśli się zważy, że kraj ten pozbawiony jest w zupełności postępowych środków komunikacyjnych, co uniemożliwia regularny pochód wojsk i transport materyału wojennego. Ale rząd hiszpański musiał się zdobyć na najdalej idące wysiłki, aby ratować się przed rewolucyą we własnym kraju, grożącą mu na wypadek przegranej w Afryce. Społeczeństwo hiszpańskie bardzo niechętnie odnosiło się do polityki afrykańskiej swego rządu, a tem samem swojego króla, którego uważano za manekina, kierowanego ręką partyi wojennej, chcącej, choćby nawet za cenę życia tysięcy ludzi, zadość uczynić swym imperyalistycznym zachciankom i ocalić resztki dawnego mocarstwowego znaczenia Hiszpanii. Ostatnia wojna amerykańsko-hiszpańska zniechęciła w zupełności tamtejsze sfery ludowe, które zbyt nie brałyby sobie do serca utraty resztek zamorskich posiadłości, byle mieć spokój i nie być zmuszonemi do składania podatku krwi, niewiadomo w czyim interesie.

Tym razem wojskom hiszpańskim powiodło się lepiej, niż poprzednio, ale sukcesy swe opłacili tysiącami ofiar, które poległy od kul i nożów afrykańskiej dziczy, kochającej jednak wolność i broniącej jej do upadłego przeciw europejskim najeźdźcom.

Z jakiem okrucieństwem spotykali się Hiszpanie ze strony Marokkańczyków, świadczy masowe wymordowanie hiszpańskiego garnizonu na górze Arruit, gdzie straszną śmierć poniosło ponad trzy tysiące osób, tak żołnierzy, jak lekarzy, sanitaryuszy itp. Dla Marokkańczyków wystarczało, że ktoś nosi na sobie hiszpański mundur lub Hiszpanom służy, aby pozbawić go życia. Załoga na górze Arruit odpierała mężnie ataki przeważających sił powstańczych prawie przez dwa miesiące, w końcu sierpnia, pozbawiona najniezbędniejszych potrzeb, musiała uledz i zdać się na łaskę i niełaskę zwycięzców. Na odsiecz nie doczekano się, główne siły hiszpańskie zajęte bowiem były ściganiem nieprzyjaciela w innym kierunku. Gdy wreszcie w połowie października przednie oddziały hiszpańskie dotarły na miejsce, oczom ich przedstawił się obraz straszny, mrożący krew w żyłach. Cała droga, wiodąca z Selouan na górę Arruit, była w ścisłem tego słowa znaczeniu pokryta znajdującemi się już w pełnym rozkładzie, a w najstraszniejszy sposób zmasakrowanemi zwłokami hiszpańskich żołnierzy, wnętrze cytadeli robiło wrażenie kostnicy, a zaduch zgnilizny rozchodził się daleko wokół. Pierwszą czynnością Hiszpanów było oddanie ostatniej posługi poległym towarzyszom broni, którzy swe życie złożyli na afrykańskim lądzie w obronie mocarstwowego znaczenia swej ojczyzny.

Z TEATRU.

„Dr. Stieglitz" na scenie teatru „Bagatela".

(Kr.) — Ożywiony repertoar „Bagateli", tego na wskróś modernistycznego, w stylu współczesnej kultury utrzymanego teatru, naturalnie prócz bardzo urozmaiconych i interesujących programów, dzięki właśnie swej barwności (niekiedy i jaskrawie) daje szerokie, rozliczne pole do popisu dla artystów.

W jednej w ostatnich nowości „Bagateli", „Dr. Stieglitz", komedyi obyczajowej z życia żydowskiej burżuazyi świetnemi i skończonemi kreacyami wybili się na czoło przedewszystkiem dwaj znakomici artyści tej sceny pp. Leopold Zbucki i Ignacy Berski, których wyborne zdjęcia (pochodzące z atelier R. Wiśniewskiego), reprodukujemy w dzisiejszym numerze.



Z teatru: Znany artysta dramatyczny Jan Nowacki. reżyser komedyi „Dr Stieglitz".

Leopold Zbucki to artysta o niepowszedniej wszechstronności. Bogaty jego repertuar obejmuje tak odmienne dziedziny jak dramat, komedya i farsa aż do operetki włącznie. Każda rola w rękach tego młodego a tak już dziś wybitnego artysty żyje, jest prawdziwą i oryginalną w ujęciu. Zdrowy humor bez szarży, sentyment bez ckliwości, charakterystyka bez przesady są nieocenionemi zaletami p. Zbuckiego.

Do najlepszych kreacyi artysty należy Bentivoglio („Odrodzenie"), Wojniczek („Bagienko") Papkin („Zemsta"), i wiele postaci współczesnej operetki, w której p. Zbucki z wielkiem powodzeniem pracował.

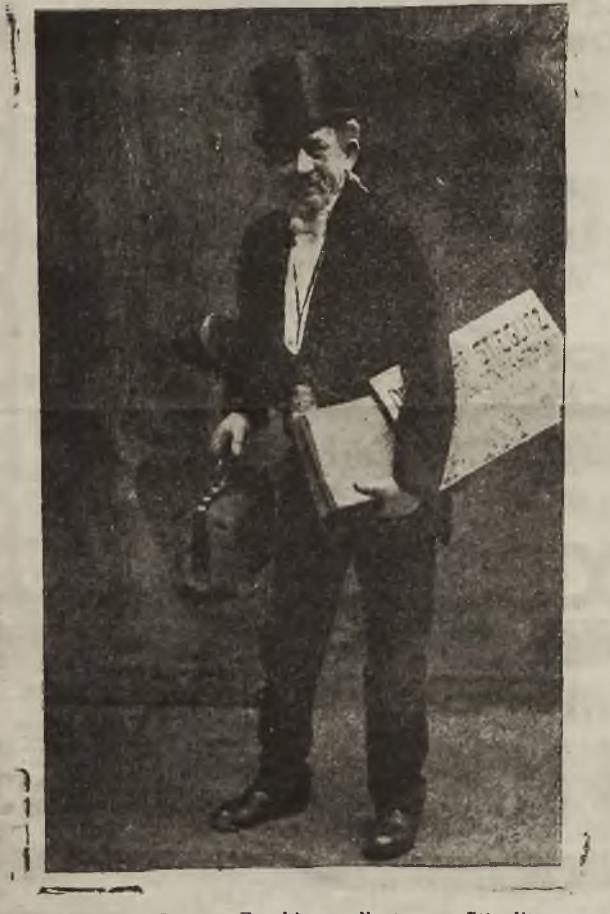
Ostatnio wystąpił ten artysta w roli Koplera w „Dr. Stieglitzu" zdobywając sobie uznanie prasy i poklask publiczności.

Partnerem jego w roli starego Stieglitza jest ulubiony komik p. Ignacy Berski, artysta pochodzący jeszcze ze starej szkoły śp. Tadeusza Pawlikowskiego. Duży talent charakterystyczno komiczny, żywiołowy humor opanowany szlachetnym umiarem, twarz niezwykle ruchliwa i giest wyrazisty, oto cenne zalety Berskiego. Starym Stieglitzem złożył p. Berski ponowny dowód wysokiego swego talentu, a spoglądać on może z dumą na cały szereg wybornych postaci, stworzonych na scenie, że wymieniamy tu tylko takie kreacye, jak Chory z urojenia, Striese, Spiegelberg, Wurm, Papkin, Łatka, Lisiewicz, cały poczet figur repertuaru ludowego (między innemi niezrównany „Majcherek" w „Królowej przedmieścia" i operetce (Dzwony z Cornville, Królowa kina i w. i.).

„Dr. Stieglitz" zawdzięcza swe powodzenie przedewszystkiem znakomitej reżyseryi jednego z najwybitniejszych dziś kierowników scen polskich p. Jana Nowackiego.

Literacko wysoce wykształcony, fachowo świetny mistrz sceny umie każdy talent aktorski pokierować na właściwe tory, wydobyć zeń wszystkie wartości i zharmonizować w zespole. Smak artystyczny i wykwintne poczucie piękna scenicznego cechują reżysera „Bagateli", którą postawił na prawdziwie europejskim poziomie.

P. Jan Nowacki w porozumieniu ze sprężystą i świadomą swych celów Dyrekcyą tego teatru, ma zamiar rozszerzyć program sceniczny i objąć nim również bogaty barwny reperutar sztuk popularnych i ludowych z uwzględnieniem przedewszystkiem współczesnych autorów.



Z teatru: Ignacy Berski w roli starego Stieglitza.

Nasza nowa powieść.

Po ukończeniu druku powieści *Matyldy Serao* p. t. **„Ucięta ręka"**, która tak żywe zainteresowanie obudziła w szerokich kołach naszych P. T. Czytelników, rozpoczniemy w najbliższym numerze niemniej ciekawą powieść *René Bures'a* p. t.

„ZIL = X..."

Nasza nowa powieść, osnuta na tle niedawnych wypadków, przedstawia barwnie i plastycznie ujęte szczegóły z życia prywatnych detektywów paryskich, utrzymujące w napięciu uwagę Czytelnika

Zamiast uwag z naszej strony na temat treści utworu tak poczytnego we Francyi autora, jakim jest *René Bures*, pozwolimy sobie przytoczyć słowa jednego z jego bohaterów, zamieszczone w pierwszym rozdziale:

„Chcę jednak zaznaczyć — mówi on — że nie jestem literatem z zawodu. Jestem tylko świadkiem, opowiadającym z dnia na dzień to, co widziałem. W ciągu tych dwóch wspaniałych miesięcy, które przeżyłem po wykryciu zbrodni, nie minął dzień jeden, aby nie przynieść ze sobą nowej jakiejś tajemnicy. Fakt ten, o ile się nie mylę, odróżni to prawdziwe sprawozdanie od podobnych innych fantastycznych opowiadań, opartych jedynie na wyobraźni autorów".

Nie wątpimy, że wybór nasz spotka się z uznaniem Czytających, dla których ta ciekawa powieść stanowić będzie niezwykle przyjemną lekturę, zwłaszcza, że i tłómaczenie jest zupełnie poprawne, czego niestety nie można powiedzieć o każdym przekładzie z obcych języków na język polski, w których niejednokrotnie fatalna polszczyzna psuje całe dobre wrażenie, wywołane treścią i wprost przekręca intencye autora. Ale nasza tłómaczka, p. *Marya Segeny*, jest nietylko tłómaczką lecz także utalentowaną autorką, której oryginalne utwory zamieszczaliśmy już na łamach naszego pisma, a dziś możemy zdradzić, że z pod jej pióra wyszła drukowana u nas niedawno tak życzliwie przyjęta powieść, jak **„Gorączka złota"**, wprowadzająca Czytelnika w tajemnice domowego ogniska naszych wojennych milionerów, rodziny Gawlików.



Z teatru: Leopold Zbucki (z lewej) jako Kopler i Ignacy Berski (z prawej) jako stary Stieglitz w znakomitej komedyi Friedmana i L. Nerza „Dr Stieglitz".